№ 15. 10. Kwietnia 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Teofil Lenartowicz o pomnikach.

Na szerokiej i bujnej, lecz rozdartej i znieważonej przez wroga ziemi polskiej, brakło miejsca dla najszlachetniejszych jej synów, dla natchnionych pieśniarzy... I szli oni „deptać obcych ludzi łany“. Ale serce ich zostawało tam, gdzie był ich skarb: w ojczyźnie. Ale myśl ich, jak dusza Anhelego po smudze księżycowych blasków, dążyła ku Polsce po słonecznych promieniach miłości. Zdeptana a wyniosła ojczyzna przemawiała do ich wyobraźni majestatem bólu i męki miljonów, władała bezpodzielnie, jak zazdrośna kochanka, stęsknionemi ich duszami. I wrócić pragnęli na łono tej dobrej matki choćby po latach tułactwa, choćby już po to tylko, aby znaleść „grób dla kości swoich w ziemi swojej“.

O śnie nieprzespanym tam, gdzie pracuje i cierpi „lud polski złoty“, gdzie „rośnie kalina z liściem szerokim“, gdzie szumią lasy „pełne wczesnej woni leśnej i słonecznej krasy“, marzył na tułactwie i Lenartowicz, ów lirnik mazowiecki, co radby był lecieć jak bocian na gniazdo ojczyste, „dziób wyciągnąwszy i skrzydła sążniste“. A marzył o tym śnie cichego wieczora nawet w gorące południe życia, gdy w pełni sił męzkich i poetycznej twórczości zdobywał niewiędnące laury swoją *Bitwą Racławicką*:

Cudza ziemia cięży człeku,
Swoja ziemia lekka:
Jakby jakie ludzkie ciało,
Cała krwią przecieka;
Jakby jakie matki oko,
Tyle łez ma w sobie,
To i dobrze Polakowi
W takim leżeć grobie —

mówi w tej cudnej epopei chłopskiej. A w *Improwizacji do polskich artystów*, napisanej w 1859 r., opiewając ciemne knieje, góry, łąki, chaty rodzinnej ziemi woła w uniesieniu:

Pod wrażeniem jej widoku,
Szumu lasów i gór echa,
Patrz, jak zmarły się uśmiecha,
Jaka radość w zimnem oku!

Ale ten lirnik natchniony był jednocześnie rzeźbiarzem: uczucia swe wylewał w dźwiękach sielskiej pieśni i rzeźbił rylcem w marmurze. Dla niego marmur, jak pieśń, miał głos i serce. Więc z myślą o grobie w ojczystej ziemi dla siebie i zasłużonej braci łączył myśl o pomniku, któryby przypominał zmarłych pamięci świata. Myśl tę wypowiada wyraźnie w wyżej wspomnianej *Improwizacji do polskich artystów*, w której kreśli rzeźbionem słowem wzory do pomników dla wielkich, przed którymi korzył się duchem, a w końcu mówi i o sobie samym „jedno małe słowo“.

Przypatrzmy się bliżej pomysłom poety-rzeźbiarza. A więc najprzód pragnąłby on widzieć na starem mieście w Warszawie Kilińskiego, „jak lud wywodzi i wojsku dodaje chęci“, z szablą pod pachą, z ładunkami dla braci szewców w pole czamary. A ma być „oddany jak z ciała, żeby go babka z pod fary za jednym razem poznała“. Dalej żąda pomnika dla Matki-Polki, jak „załamane ręce kładła“ na głuchą bramę więzienną, nad którą lśnił napis, jak „nad Zbawcy głową: polityczne prestupniki“.

Uwiecznienie w marmurze należy się — zdaniem poety — i „czystym jak źrenice“ duszom tych, co w służbie dla kraju „znaleźli szubienicę“, a nad głowami ich polski artysta powinien wykuć „pół krzyża“, szubienicę krzywą.

Dłuto rzeźbiarza przekazać winno potomności wśród białego marmuru rozłamanego na dwoje, niby śnieżny wał sybirski, i „posieleńca“ ze spuszczoną na piersi głową, złożonemi rękami na popsutej broni palnej.

Po męczennikach, po niewiastach mają wyjrzeć kamiennem obliczem wieszcze: Brodziński i Mickiewicz. Pierwszy „istny wieśniak nad wieśniaki, w ręku trzyma piórko pawie, a wzrok puszcza aż za Kraków i coś marzy o Wiesławie i o poselstwie Polaków“.

Drugi — „postać dumna, ku obłokom twarz zwrócona“ — przepowiada nową erę — nie marzenia, ale czynu i następnym pokoleniom rzuca karty Sybilijskie. Nad czołem wieszcza „wichry grzywę lwią rozwiały, w ręku strzałę wartką trzyma, brwi

jak skrzydła nad oczyma, z pod brwi lecą spojrzeń strzały!“.

„Na Powązkach, w rozkwitłego bzu gałązkach“ zasiada w wyobraźni poety Malczewski z teorbanem, aby „kukułki i jaskółki z nad rzeczułki“ uczyć w wieczór cichy polskiej tęsknoty A na tarasie zamkowej, skąd widać „wieśniacze pługi i jak pastuch bydło pasie“, wskazuje miejsce na pomnik dla mistrza dźwięków z „czołem zamyślonem“ — dla Szopena, którego wyobraża sobie w chwili, gdy „jedną ręką wzniósł do ucha, drugą pieśni dźwięk powtarza“, a wyrazem twarzy mówi, że go nuta boli, więc też z każdą jego zwrotką, „by jak nie wiem dźwięczną, słodką“, mięsza się łza rzewna...

Po złożeniu marmurowego hołdu tym, których bohaterskie czyny, męczeństwo i pieśń wlewały zdroje żywej siły w uciśnioną pierś ojczyzny, poeta zwraca się myślą ku sobie i rzuca nieśmiałe pytanie:

Dalej, dalej jeszcze komu
Ku ojczystych miast ozdobie?
Czyby nie czas prosić sobie
O tablicę w bożym domu,
Gdziebym wolny od pośmiechu,
Odpoczywał w murów cieniu,
Z tym napisem po imieniu:
Robotnik polskiego cechu,
Tkacz snów złotych w dniach posuszy,
Wieczny pokój jego duszy!

Proroczem okiem sięgał poeta w daleką przyszłość, gdy kreślił te słowa, bo oto dziś po upływie lat trzydziestu kilku, marzenie jego zaczyna się przyoblekać w kształty dotykalne: śmiertelne szczątki Lenartowicza wrócą do „ojczystego miasta“ i spoczną „w murów cieniu“, będzie miał i „tablicę w bożym domu“... Ale czy druga połowa jego prośby znajdzie posłuch? Czy ową tablicę ozdobi napis, który poeta sam dla siebie ułożył? Na to pytanie odpowie niedaleka przyszłość, i odpowie zapewne twierdząco, bo — jakkolwiek skromny — napis sen charakteryzuje trafnie mazowieckiego lirnika, który nucił nieuczoną, skowrończą swą pieśń, aby „w ludzkie łzy tęsknoty zapleść promień słońca złoty, gdzie się czoło we kwi nurzą, poprzewijać ciernie różą“.

M. Wysłouchowa.

Kartki naukowe.

Treść: *Przekształcenie węgla na djamenty. — Zaćmienie słońca 16 Kwietnia. — Nowy środek usypiający. — Jadowitość śliny ludzkiej.*

Nareszcie nadzwyczajne odkrycie stało się faktem dokonanym; wynaleziono sposób produkowania w laboratorjach prawdziwych djamentów, posiadających wszystkie fizyczne i chemiczne własności djamentów naturalnych. Odkrycie to kazało długo czekać na siebie i pochłonęło czas i majątek wielu poszukiwaczy; już przed stu laty bowiem wielki

W Pieninach
sanną po Dunajcu.

(Dokończenie.)

Wawrzek, niewyczerpany w rozmowie, nie byłby sobie przebaczył, gdyby nam nie opowiedział żywo w pamięci i ustach górali żyjącej historji zbójnika, o którym lubią opowiadać z pewnego rodzaju chlubą, jako o swoim bohaterze ludowym. Nasłuchałem się był już nieraz o tym zbójniku, przed którym długo drżały karpackie okolice, gdy zagony swoje w równie zapuścił. Tatry i Pieniny były jego warownią, niezdobytą twierdzą; tutaj ściągał on i gromadził zastępy opryszków, swoich „chłopców“. Niepodobieństwem było prawie, odnaleźć go w tych górach, wśród skał i ich ukrytych podziemnych przejść, a jednak Janosik dał się widocznie zbyt boleśnie we znaki szlachcie, kupcom i władzy publicznej, skoro urządzono na niego obławę nawet w Pieninach. Gnany, ścigany, jak dziki zwierz, uchodził szczęśliwie przed myśliwymi i ich naganką, gdy w tych pościgach, osaczony wreszcie ze wszystkich stron, wpadł w pułapkę bez wyjścia. U stóp jego, groźny, wezbrany Dunajec, za nim i dokoła zbrojni prześladowcy, pragnący go ująć żywcem i okrutnie ukarać dla odstraszającego przykładu. Ale on, król gór, obeznany z każdem drzewem, kamieniem, przepaścią, w tej srogiej nawet ostateczności nie myślał się poddać. A przecież ujść rąk tych ludzi było na pozór niepodobieństwem, chybaby w nurtach Dunajca chciał dobrowolnie grób sobie znaleźć. I tym razem wszakże nie opuściło go jeszcze zwykłe szczęście: Janosik, przekradłszy się do miejsca, w którem koryto Dunajca zwęża się najbardziej, puścił się z góry, co sił starczyło, ryzykownym, szalonym skokiem wezbrane wody przesadził i uszedł srogiej pogoni. Odtąd miejsce to nosi nazwę „zbójeckiego skoku“, a wspomnienie o bohaterze Janosiku żyje w pieśniach górali.

Jano, Jano, to był zbójnik,
Zna po górach każdy chodnik;
Jaki z niego tęgi chłop,
Ani zmierzył, zrobił skok.
hu!..

Nucił nam na zakończenie opowiadania Wawrzek, a gdy nie przerywaliśmy, ciągnął dalej:

Nie masz to ci, jako zbój,
Spadnie listek, to się bój,
Spadnie listek bukowy,
Ino Jano gotowy.
hu!..

chemik Lavoisier dowiódł, że djament ma takież pochodzenie, jak zwyczajny węgiel oraz grafit na ołówkach; od tej epoki chemicy niejednokrotnie usiłowali otrzymać djamenty z węgla. Czyż nie ponętna rzecz módz zmienić kawał węglowy żadnej prawie wartości w szlachetny kryształ mieniący się wszystkiemi barwami tęczy, poszukiwany przez możnych i bogaczy jako najpiękniejsza ozdoba! Ale wszystkie te próby pozostały bezskuteczne.

Wreszcie w miesiącu Lutym r. b. młody chemik p. Moissan, wsławiony już innemi odkryciami, ogłosił uczonemu światu, że wynalazł sposób fabrykowania prawdziwych djamentów.

Zapowiedź ta wywołała niezmierny rozgłos i zainteresowanie się całego świata; ogół zaciekawiony został głównie praktycznemi następstwami tego niepospolitego odkrycia, aczkolwiek posiada ono przedewszystkiem doniosłe znaczenie naukowe, wyjaśnia nam bowiem, jakich sposobów użyła przyroda dla przekształcenia zwyczajnego węgla w przeźroczysty brylant. Ze wszystkich danych naukowych wysnuwa się wniosek, iż ta czarodziejka dokonała cudowne przemiany za pomocą takich sposobów, jakich użył p. Moissan w swych doświadczeniach, to jest wysokiej temperatury w połączeniu z olbrzymiem ciśnieniem.

Aby węgiel przekształcić na przeźroczysty kryształ należało wynaleść płyn, w którym węgiel mógłby rozpuścić się, jak cukier w wodzie. Płynami takiemi są żelazo i srebro, podniesione do niesłychanie wysokiej ciepłoty. Istotnie p. M. ogrzewał srebro do 3000 stopni za pośrednictwem prądu elektrycznego. Następnie masę metalową wraz z rozpuszczonym w niej węglem raptownie wlewał do zimnej wody; wówczas zewnętrzne warstwy metalu szybko ostygają, a ponieważ srebro przy ostyganiu rozszerza się, przeto wewnętrzne warstwy jego uwięzione pod tą zewnętrzną powłoką, nader silnie są uciskane. Ostygający w tych warunkach węgiel układa się w drobniuchne kryształki dwojakiego rodzaju: najwięcej powstaje grafitu, a znacznie mniej czarnych oraz bezbarwnych djamentów.

A więc odtąd można będzie zakładać fabryki, w których węgiel korcami zmieniać będą na brylanty? Nie łudźmy się próżną nadzieją; odkrycie p. Moissan nie prędko zapewne znajdzie praktyczne zastosowanie, jest bowiem bardzo kosztowne i trudne; obliczają iż odkrycie to pochłonęło już około 50,000 franków, a w rezultacie dało wynalazcy zaledwo kilka miligramów djamentów. Zresztą kryształki te są tak drobne, że przemysłowcy, mający do czynienia z brylantami, jak jubilerzy, szklarze, optycy i inni nie mogliby zużytkować tak drobnych kamieni. Ale bo też p. M. przedsięwziął owe doświadczenia jedynie w celach naukowych i przez kilka miesięcy dokładniej zbadał własnosei djamentów, niż wszyscy chemicy w ciągu całego stulecia. Aby lepiej przekonać się czem są one rzadkie kamienie. p. M. spalił je i kryształy zmieniły się na kwas węglany zupełnie taki, jaki wyrzucamy z płuc przy każdem wydychaniu powietrza; ale o dziwo, okazało się, że djament nieco zabarwiony nie jest

---

Ej, Janosik to był chłop!
Rozbił nocą biły hrad,
A biły hrad, winnice,
Biłe hradzkie piwnice.
hu...

Janosik, Janosik, zbójecki hetmanie,
Zebrałeś tu acki,*) nie pracuwał na nie.
hu... ha!..

Smutny był koniec Janosika; zgubiła go — jak często się dzieje — kobieta, bo i Janosik miał swoję frajerkę (mówiąc gwarą Wawrzka). u boku której szukał wytchnienia i słodyczy. Według podania zawdzięczał on swe szczęście długim kędziorom włosów, w których mieścić się miała zarazem i siła jego niezwykła. Z tajemnicą tą zwierzył się swej kochance, ta zaś, skuszona obietnicą wysokiej za jego głowę nagrody, śpiącemu u siebie zbójcy ucięła pukiel włosów, poczem na poprzednio już umówiony znak wpadli zbrojni hajducy i pojmali go żywcem; Janosik bowiem, którego o p u ś c i ł a istotnie dawna siła, nie mógł stawić oporu.

Mówiłak ci Jano, daj pozior na siebie,
Hamerscy hajducy już idą po ciebie,
Tera cię powieszą za pośrednie ziobro.
Już ci potem zbijać bedzie niepodobno.

*) turaczki = pieniądze

Wawrzek śpiewał z kolei dwudziestą którąś zwrotkę, gdy uwagę moję zwróciła na siebie dość wysoka, piękna góra, przystrojona białym zawojem.

Nie pojętym dla mnie sposobem zdawała się wyrastać z samego środka łożyska Dunajca i zagradzała dalszą drogę; dopiero zbliżając się, poznałem, że to góra Szomowiecka, która też teraz, jakby zręczną maszynerją nakręcona, w miarę naszego zbliżania się, powoli usuwała się na bok, zostawiając nam wolne miejsce do przejazdu. Powodem tego złudzenia jest okoliczność, że posuwając się korytem Dunajca, stosownie do jego częstokroć bardzo silnego wygięcia, okrąża się jednę i tę samę górę kolejno z kilku stron, tak, że ona zdaje się zmieniać wobec nas swe położenie.

Wychyliliśmy się znów na więcej otwarte pole; po lewej stronie H a j d u c k i o g r ó d, bogaty według podania w różne wypadki, a pamiętny z czasów, gdy stanowił pograniczną stację straży skarbowej, czuwającej nad przemytnikami, zwłaszcza tytoniu. W tej chwili jednak nie obchodziła mnie ani legenda, ani podanie, duszą całą utonąłem gdzieindziej...

Mijaliśmy właśnie podnóże Trzech Koron, a z niemi razem już i Pieniny. Przed nami rozścielała się szeroka kotlina, otulona białą oponą. W powietrzu panował spokój, słońce w tej poładniowej godzinie lało jasne fale światła i temu tylko przypisać mamy

czystym węglem, ponieważ po spaleniu pozostaje popiół. w którym odnaleziono trochę żelaza, krzemu, magnu i wapnia. Dotychczas okoliczność ta pozostawała nieznaną.

Znakomity chemik energicznie prowadzi dalej swe poszukiwania i dochodzi do coraz ciekawszych pewników, odnoszących się do powstawania djamentów nie tylko w głębi naszej ziemi, ale i w spadających z nieba bryłach, zwanych aerolitami. Obecność djamentów na innych ciałach niebieskich jest faktem niezmiernie ciekawym, przekonywa nas bowiem w sposób nieomylny, że węgiel, jeden z zasadniczych pierwiastków naszego planety, znajduje się również i na innych światach, wirujących w przestworzach niebieskich.

Wzmianka o innych światach przypomniała nam, iż 16 Kwietnia przypada całkowite zaćmienie słońca, najciekawsze bo najdłuższe ze wszystkich zaćmień w bieżącem stuleciu, będzie ono niemniej ostatniem w XIX wieku. Owo zaćmienie bezwarunkowo wpłynie na rozszerzenie naszych wiadomości o fizycznej naturze słońca.

Dlatego też astronomowie wszelkich narodowości przygotowują się do obserwacji tego wielkiego zjawiska, obrawszy sobie stacje, znajdujące się na środkowej linji zaćmienia, a ponieważ cień księżyca rozciągnie się na znacznej przestrzeni lądów, przeto takich stacji obserwacyjnych będzie znaczna ilość.

W niektórych miejscowościach słońce będzie zakryte niemal przez 5 minut (4 m. 46 s.). Zaćmienie rozpocznie się w południowej części Oceanu Spokojnego; następnie przez Chili przejdzie przez Południową Amerykę do Atlantyku i będzie najlepiej widzialne w najwęższej części oceanu; wreszcie zaćmienie przejdzie do Afryki i zakończy się w środkowej części północnej Afryki. W Paryżu zaćmienie będzie częściowe, widzialne o 4 g. 13 m. popołudniu.

Obecnie powiedzieć musimy słów kilka o nowym środku usypiającym, który jak się zdaje ma świetną przyszłość przed sobą. Jestto **chloraloza** ochrzczona tak przez p. p. Richeta i Henriota. Nowy środek walczy skutecznie z newrozą, a ponieważ oddziaływa głównie na psychiczną stronę, przeto ze wszech miar doskonałym jest do pokonania bezsenności. Według Richeta chloraloza nie sprowadza złych następstw, właściwych morfinie, a obudzenie się ze snu sztucznego jest takie, jak ze snu naturalnego. Chloraloza została wypróbowaną poprzednio na psach; działa ona nie tylko jako środek usypiający lecz zarazem jako środek znieczulający na ból. Następnie lekarze wypróbowali chloralozę na ludziach i uznali ją za doskonały środek usypiający; sprowadza ona głęboki sen, przez kilka godzin trwający i obudzenie się zupełnie naturalne bez bólu głowy lub innych przykrych następstw.

Wprawdzie istnieje wiele innych usypiających środków lekarskich, niemniej jednak, według zdania lekarza Bineta, nowy środek jest zawsze pożądany, raz dla tego, że chory w końcu przestaje być wrażliwym na lekarstwo często używane, a powtóre nowy środek może okazać się w pew-

---

(bo istotnie kiedyindziej rzadko się to zdarza) że nagle zdumionym oczom naszym ukazały się całkiem niespodzianie piękne, wspaniałe, kochane nasze polskie Tatry. Widzieliśmy je, jak na dłoni; szereg granitowych niebotycznych skał, ustawionych, jakby ręką artysty w najbardziej malownicze grupy. Biały, śnieżny całun, stosownie do wypukłości i zagięć, tworzył ich malarsko drapowaną szatę. Jeden górujący szczyt, najwyższy, ciemniej od innych odbijał na lazurowem tle nieba i ciemno niebieskawą smugą, niby wspaniałą wstęgą ciemniały podnóża gór, dodając uroku cudownemu krajobrazowi. Szczyty tych olbrzymów zdawały się głowami dotykać niebios sklepienia, to gubiąc się w nich, to znów wychylając, stosownie do gry światła i nieznacznych wstrząśnień, które w skutek podskoków sanek udzielały się osobom.

Koń szedł krokiem wolnym, a ja oczu oderwać nie mogłem od tych piękności! Wyobraźnia moja również pracowała. Zdawało mi się, że jakiś tkliwy, smętny głos z tamtych stron mię dolatuje... Urok jakiejś potęgi wiał od tych kolosów, stojących na straży polskiej ziemi... Na myśl przyszło mi podanie o wojsku, co zasnęło w Karpatach i co kiedyś ma podnieść szczęśliwszy niż dotąd oręż, by sztandary nasze do zwycięstwa poprowadzić. Gdybyśmy — jeżeli takie porównanie zrobić można — choć w atomowym pyłku pracy naszej, w naszych zamiarach i chęciach, podobni byli tym skałom i stali niewzruszeni, gotowi mężnie a wytrwale stawić czoło każdej burzy, jak one je stawiają, odpierając i wytrzymując burze i nawałnice — o! zapewne godzina zwycięstwa i odrodzenia bliższa by nam była...

Milczałem wciąż, w głębokiem pogrążony dumaniu; Wawrzek nie mógł tego zrozumieć; widząc, że wzrok utkwiłem nieruchomie w Tatry, odwrócił się do mnie, a wyciągając rękę w ich stronę — to Giewont, panie — powiada — ino tak cosik ciemnawo wygląda. To mówiąc, strzepnął lejcami, koń przyspieszył biegu, skręcaliśmy w bok tuż po pod sam **Czerwony klasztor** coraz więcej na lewo, a równocześnie z prawdziwym żalem traciliśmy z przed oczu Tatry, zbliżając się już po stronie węgierskiej do gospody w Smierdzączce, gdzie musieliśmy popasać, myśląc o powrocie, gdyż byłto już kres ostatni naszej wycieczki.

Po małej godzince wypoczynku puściliśmy się z powrotem tą samą drogą po Dunajcu i jeżeli przedtem rozkoszowaliśmy się wspaniałym widokiem gór i tych olbrzymich skał, które w zimowej porze całkiem odsłonięte, wydają się jeszcze większymi kolosami, to teraz z powrotem całe ich majestatyczne piękno tembardziej musieliśmy podziwiać. Dotąd bowiem przesuwaliśmy się pod niemi tylko chyłkiem, niewolniczo stóp się ich trzymając, teraz zaś przeciwnie, każdą górę, każdy jej szczyt, całe ich

nych dolegliwościach lepszym od dawnych. Nie zapominajmy jednak dodaje Binet, że jestto trucizna działająca przedewszystkiem na umysłową stronę i dlatego powinna być używana z nadzwyczajną ostrożnością.

Ciekawe również odkrycie zrobiono ostatniemi czasy, że ślina ludzka może być nader niebezpieczną w skutek pewnych chorób zakaźnych. Wiedziano coś o tem i dawniej, ale obecnie przekonano się w Paryżu, że ślina może szerzyć dyfteryt między dziećmi. Wiemy wszyscy, jak rozpowszechniony jest zwyczaj całowania się między dziećmi, zwłaszcza że starsi zachęcają maleństwa do okazania w ten sposób swej czułości. Otóż pocałunki takie mogą być niekiedy śmiertelne, gdy jedno z dzieci, przed kilku miesiącami nawet chorowało na dyfteryt. A chociaż zdesynfekciowano starannie całe mieszkanie i odzież po chorym, straszne bakterje mogą przechowywać się w jamie ustnej dziecka i dalej szerzyć chorobę.

Łatwo przypuścić, iż nie tylko dyfteryt, ale i wiele innych chorób udzielać się mogą w ten sposób. Co czynić, aby uniknąć niebezpieczeństwa? Oczywista rzecz, iż najlepszym środkiem ochronnym jest staranne i często płókanie jamy ustnej płynami zabójczymi dla mikrobów; miemy nadzieję iż poszukiwania w tym kierunku prowadzone wykryją nam wkrótce, jak długo wystrzegać się mamy rekonwalescentów, a tymczasowo nie zachęcajmy dzieci do częstego całowania się między sobą, zwłaszcza wkrótce po chorobie; boć nie możemy przecież posunąć swej ostrożności tak daleko, jak pewien lekarz amerykański, który zaproponował prawo, wzbraniające całowania się, ponieważ „jestto zwyczaj nader niebezpieczny dla zdrowia.“

Dr. M. Stefanowska.

Najnowsza powieść Emila Zoli.

Paryzkie czasopismo *Revue Hebdomadaire* i warszawski *Przegląd Tygodniowy* rozpoczęły jednocześnie prawie druk powieści Zoli p. t. „Doktor Paskal“ którym to utworem autor zamierza zamknąć słynny cykl, poświęcony rodzinie Rougonów.

Doktor Paskal jest bratem Eugeniusza Rougona i bratem Saccarda — ale nie goniąc za władzą ani za bogactwem, wielkie zdolności swoje wrodzone poświęca wiedzy.

Doktor Pascal studjuje atawizm i — umiarkowanie wolnomyślny — gromadzi w celu studjów „dokumenta“, których autentyczność jest pierwszą i główną wartością. Byleby dokument był autentyczny doktorowi jest wszysko jedno „kogo„ mianowicie, dotyczy.

Ponieważ zaś najpewniejszym może być autentyczności dokumentów „swojej rodziny“, przeto bez względu na potęgę braci, na stanowiska kuzynów, na żądzę zatarcia wszelkich poza sobą śladów, jaką

---

szeregi mieliśmy przed sobą wprost tak, że zanim zbliżyliśmy się w końcu do ich podnóży, wpierw mogliśmy je w całości objąć oczyma. To też nigdy w pamięci mej niezatartem pozostanie wspomnienie tego widoku, jaki obecnie przedstawiały Trzy korony! Olbrzymich rozmiarów, szeroką piersią swoją rozpostarły się na znacznym obszarze, wznosząc z królewską powagą dumne swe szczyty pod niebiosa. W kilku jedynie miejscach, tam zapewne, gdzie wicher najwięcej ugania, skały świeciły nagością, w ogóle zaś osute były śniegiem, którego zmarzła a lśniąca powłoka, oblana w tej chwili światłem słońca, zdawała się tworzyć ogniska, chłonące w siebie całe pęki świetlanych promieni po to, aby rozsypując je dookoła w większych lub mniejszych snopach, rzucać szerokie smugi przepysznie zabarwionego światła. Smugi te jednak znikały tak szybko, że ledwie okiem schwycić je było można, gdy już na ich miejsce błyskawicznie zjawiały się inne, i znowu inne, a rozpraszając się po całej przestrzeni wywoływały w powietrzu przelotne, nieuchwytne zjawiska.

Niższe góry i wzgórza zdawały się tulić do Trzech koron, niby dzieci do matki. Przepysznie też — stosownie do położenia Dunajca, po którym wciąż przesuwaliśmy się przedstawiały się lasy szpilkowe. Im wyżej w górę, tem ciemniejszą posiadały barwę, a gałęzie i gałązki, przypruszone zlodowaciałym śniegiem, iskrzyły się w promieniach słonecznych i chwiejąc się od wiatru ciskały migotliwe, różnobarwne błyski. Sprawiało to takie wrażenie, jak gdyby ktoś zarzucił na te lasy przeźroczystą gazę, usianą jak mak drobnymi brylancikami.

Saneczki nasze sunęły tymczasem naprzód, wciąż naprzód, korytem gwałtownie wyginającego się Dunajca. Chwilami góry wydawały się nam jedną, niepodzielną całością i nie wiedzieliśmy, którędy i czy wydostać się z pomiędzy nich będziemy mogli, Dunajec bowiem zdawał się ginąć pod jedną z tych skał, podziemne znalazłszy upusty. I złudzenie to trwa nieraz tak długo, dopokąd się nie dojedzie aż pod samą skałę; wtedy dopiero silny skręt rzeki dalszą odsłania drogę.

W cztery godziny po wyjeździe z domu stanęliśmy już z powrotem, zachwyceni wycieczką, ubolewając szczerze, że tak mało osób spieszy oglądać cuda rodzinnych gór, tej polskiej Szwajcaryi i że do wielu wśród nas dadzą się zastosować słowa poety:

Cudze chwalicie,
Swego nie znacie;
Sami nie wiecie,
Co posiadacie.

Luty 1893. *Damazy Miśko.*

matka rodu pała — gromadzi wszystkie te materjały.

Zaraz pierwszy rozdział nowego romansu — zwyczajem Zoli — stawia czytelnika *in medias* całej sytuacji

Matka rodu wchodzi do domu doktora w chwili, gdy on sam jest zajęty w laboratorjum —w salonie, będącym zarazem pracownią, znajduje się Klotylda, dwudziestopięcioletnia córka Saccarda, wychowywana przez Pascala i jego gospodynię, Martynę, artystka duchem i wyobraźnią, podniosła umysłem, jak jej stryj, skrajnie religijna, jak Martyna.

Przepyszny obraz starej babki kreśli Zola.

„— To pani Felicyta! — mówi Martyna, spostrzegając starszą panią jeszcze na schodach.

Żywo weszła do salonu pani Rougonowa. Pomimo swoich lat ośmdziesięciu z lekkością młodej panienki wbiegła na schody — i tak jak dawniej — wyglądała jak Lafontenowski konik polny, czarna, sucha i ostra jak zawsze. Teraz bardzo elegancka, ubrana w czarne jedwabie i, dzięki wysmukłości kibici, możnaby ją jeszcze wziąć za jakąś rozkochaną awanturnicę, ambitnych dążeń pełną, którą miłość lub żądza jakaś pędzi tak przed siebie. Z blizka, w suchej jej i spiczastej twarzy, oczy zachowały płomienne blaski młodości, a gdy chciała tylko, umiała się jeszcze uśmiechnąć prawdziwie czarującym uśmiechem".

Opisując stanowisko matki rodu Rougon-Macquartów, mówi dalej Zola:

Od dwóch już lat stara pani Rougonowa była wdową. Mąż jej roztył się tak, że mu się już ruszać trudno było i z jakiejś niestrawności umarł w nocy d. 3-go września 1870-go, w nocy tego dnia, w którym się dowiedział o katastrofie sedańskiej. Zdawało się, jak gdyby upadek rządu, za podporę którego słusznie się uważał — spiorunował go. To też pani Felicyta udawała teraz, że ją polityka wcale nie obchodzi i żyła od owej chwili jak królowa, która z tronu zstąpić raczyła.

Jaką jest ta postać i ten charakter, o tem się od razu dowiaduje czytelnik z paru jej przemówień.

— Dzięki Bogu! — mówi pani Felicyta — ganiąc skromność syna swego Paskala — nie brak ludzi wielkiej wartości w naszej rodzinie!.. Inni moi synowie pragnienie duszy mojej szeroko zadowolili! Wiesz sama... twój stryj Eugeniusz stanął u szczytu władzy... minister przez lat dwanaście!... A twój ojciec!?.. czyż to nie on puścił w ruch te tysiące miljonów, czyż to nie on figurował wszędzie, gdzie się projektowały i tworzyły wielkie dzieła, które do gruntu przerobiły cały Paryż!.. Nie mam co wspominać o twoim bracie Maksymie, który jest tak bogaty, tak dystyngowany, ani o twoich ciotecznych, o Oktawiuszu Mouręcie, jednym z filarów nowego handlu, o świętym naszym księdzu Mourecie, którego za życia chyba kanonizować by trzeba!... I dla czegóż więc Paskal, który mógłby był doskonale iść za śladem ich wszystkich, żyje uparcie w tej dziurze, jak stary oryginał na pół szalony!?.. On nie chciał należeć do rodziny!.. Słowo honoru daję!.. Mówiłam mu jeszcze jak był mały: „skądżeś się ty wziął między nami!.. ty nie jesteś nasz!.." Ja wszystko poświęciłam dla rodziny!.. jabym się dała posiekać w kawałki, byle tylko rodzina była wielka, można i chwałą okryta!"

— „I gdzież jest rodzina — mówi w innem miejscu stara Rougonowa, ubolewając nad zbieraniem owych aktów i dokumentów rodziny — coby nie doznała nieszczęść, które sobie źle tłómaczyć można?.. Oto matka naszego rodu, ukochana i szacunku wszystkich godna ciotka Dyzia, twoja prababka, od lat przeszło dwudziestu znajduje się w zakładzie dla obłąkanych w Tulettes?.. Jeśli Bóg uczynił jej tę łaskę, że ją dochował przy życiu do sto czwartego roku życia, to ją za to ciężko dotknął, odbierając jej władze umysłowe!.. Naturalnie, święta wola Jego... i niema się czego wstydzić, ale do rozpaczy mnie doprowadza myśl, że ludzie powiedzieć mogą potem, żeśmy wszyscy warjaci... Albo słuchaj... twój dziadek cioteczny Macquart!.. ileż to o nim głupstw nagadali, ile plotek narobili!.. Macquart naturalnie nieraz pobłądził... ja go nie bronię, ale czyż dziś nie żyje sobie uczciwie w swoim folwarczku w Tulletes o dwa kroki od naszej nieszczęśliwej matki, którą jak dobry syn nawiedza i pielęgnuje... I jeszcze jeden przykład — Karolek, syn twego brata Maksyma... to przecież wiadomo, że nie spełna jest rozumu biedaczek!.. A czyby ci przyjemnie było, gdyby ci powiedziano, że twój bratanek jest takim dlatego, że od nas pochodzi, że w czwartej generacji odradza nieszczęścia swojej prababki!. do której prowadzamy go czasami i z którą mu tak dobrze!?.. Nie!.. rodzina zginie! jeżeli się tak wszystko będzie rozwałkowywało!.. nerwy tego, muskuły tamtego!.. To przecież do życia zniechęcić musi!..."

Koło tej osobistości, koło tego typu, Zola grupuje wszystkich żyjących członków rodziny, kończąc jej dzieje...

Głęboka obserwacja, staranność drobiazgowa w opracowaniu szczegółów, stałe dążenie do zakreślonego sobie celu, jędrność stylu, te zwykłe zalety Zoli, występują w całej pełni i w tem nowem dziele, które zaledwie się ukazawszy w oryginale, już we wszystkich językach europejskich tłómaczów znalazło.

Oryginał z Piskorzewa

powiastka Junoszy.

(Ciąg dalszy.)

— A no, być może, bardzo być może... gotów jestem nawet...

— Chodźmy Stefciu, zostawmy mego małżonka w spokoju, niech sobie drzemie nad kodeksem, a my spełnijmy uczynek chrześcijański...

— I ja?

— Przecież mnie samej nie wypada...

— Ależ ja go nie znam.

— To go poznasz, kto wie co z tego wyniknie? tyś piękna wdówka, a on... on wprawdzie nie piękny, ale bardzo bogaty wdowiec.

— Umierający...

— Jeżeli umrze, nie ma o czem mówić, lecz w razie wydrowienia...

— Mówią o nim, że warjat...

— O, moja droga, tak mówią, a ja utrzymuję, że to jeszcze nie dowiedzione.

. . . .

Wojciechowa nie chciała wpuścić pań do chorego, stanęła przede drzwiami jak szyldwach, w postawie bynajmniej nie zapraszającej...

— Pan chory — rzekła — pan bardzo chory, a choć nawet w zdrowiu będąc, gości nie pragnął.

— Właśnie, dla tegośmy przyszły, że chory.

— Doktór chodzi...

— On swoją drogą, a my swoją. Trudno żeby był bez opieki; kobiety jesteśmy, mamy serce.

— I to prawda, ale on bez opieki nie jest.

— Któż go dogląda?

— A ja to niby pies? — oburknęła baba — tyle lat mu służę i nie narzeka.

— Wiemy, że mu służycie i dobrze, poczciwie służycie... teraz już nie ma takich sług.

— O, teraz naród! niech go marności! lada dziewka od cebra stroić się jeno chce i latać.

— O! tak — wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi... Wasz pan lepszej kobiety ze świecą by nie znalazł... ale czy sama jedna możecie sobie dać radę; tyle na waszej głowie.

— A juści, cała ta chałupa — odrzekła baba.,

— I do miasta wyjść i porządek zrobić i ugotować... chyba musielibyście mieć ze trzy pary rąk, żeby temu podołać.

W życiu swojem nie słyszała Wojciechowa tylu komplementów. Łechtały one jej próżność, to też baba była w siódmem niebie, szczęśliwa, że się na jej cnotach poznano.

Wejście do chorego nie przedstawiało już trudności; panie wtargnęły do wnętrza willi i zaczęły w niej gospodarować. Pana Dezyderego nie widziały, gdyż spał, ale potrafiły wytłómaczyć, że choremu będzie daleko lepiej leżeć w salonie dużym i widnym, aniżeli w sypialni ciasnej cokolwiek. Stało się według ich woli, i na drugi dzień od rana przeniesiono go z łóżkiem.

Pan Dezydery, którego choroba przesilała się i pomyślniejsze pozwalała rokować nadzieje. nie mógł się wydziwić, zkąd się wzięły bukiety na oknach i stole, oraz, zkąd pochodzą soki owocowe, konfitury i rozmaite przysmaki, które mu Wojciechowa podawała.

— Jednak to zacne kobiety — pomyślał — gdy mu powiedziano, kto czuwa nad nim zdaleka i otacza go niewidzialną, a delikatną troskliwością.

Doktór uśmiechał się...

— Hm — mówił do swego pacjenta — kwiatki, konfiturki — to źle... to niedobrze.

— Czy mi zaszkodzą? — spytał chory.

— Tego nie mówię, ale twierdzę, że... to nie dobrze.

— Dla czego?

— Bo, z po za tych soków, konfiturek, bukiecików, wychyla się kobieta.

— Tak sądzisz, doktorze.

— Ma się rozumieć. Jest kobieta, są czułości, jest romans — to źle, bardzo źle.

— Posądzasz mnie pan?

— Nie — tylko mówię, że źle.

— No, chyba nie zakocham się w regentowej.

— Zapewne, gdyż ta ma jeszcze męża. ale pani Stefania, jej siostra, już go nie ma — a to źle... bardzo źle.

— Dla niej...

— Nie, dla pana... od romansu do małżeństwa jeden krok.

— Doktorze! zapewniam cię uroczyście, że o kobietach nie myślę.

— To źle.. bardzo źle.

— Więc cóż u licha jest dobrze według pana?

— Hm... nie wiele mogę wyliczyć... Swoboda dobra, spokój dobry, niezależność dobra, ale małżeństwo...

— Sam jesteś żonaty...

— Jestem i to źle. to bardzo źle... Można o kobietach myśleć, można je nawet lubić, ale żenić się, zwłaszcza w pewnym wieku, jest źle, bardzo źle... Bywajże zdrów panie Dezydery, nie wstawaj jeszcze, poleż, wypocznij, ja cię jutro odwiedzę.

Tegoż dnia dwa anioły opiekuńcze zjawiły się osobiście w pokoju chorego. Pan Dezydery przyjął je jak najgrzeczniej, za opiekę dziękował, rozmawiał, ożywił się.

Gdy już wyszły na ulicę, pani regentowa rzekła do siostry:

— I cóż Stefciu, dziad jeszcze ujdzie, a zakochany w tobie — po uszy!

— Moja Man'u — odrzekła pani Stefania — powiedz mi, czy jutro na spacer włożyć suknię czarną. czy popielatą?

— W czarnej ci jest cudownie.

Pani Stefania podziękowała za radę i nazajutrz na spacerze pozwalała się podziwiać w barwach... blado niebieskich.

. . . .

Trzebaby być dzikim człowiekiem, żeby nie podziękować za tyle dowodów dobroci i uprzejmości, to też skoro pan Dezydery przyszedł o tyle do zdrowia, że mógł już z domu wychodzić, przywdział odświętny garnitur i udał się do mieszkania regenta. Przedtem zaś rano posłał dla pań kilkanaście prześlicznych roślin ze swej oranżerji i koszyk pysznych brzoskwiń, prosto z drzewa.

Regent ujrzawszy przysyłkę, uśmiechnął się do żony.

— Meternich z ciebie, moja pani — mówił — Meternich! anim się spodziewał dokąd cię chrześciańskie uczucia zaprowadzą.

Pani regentowa z kwaśną miną przyjęła komplement.

— Chciej mi pan wierzyć, panie mężu — rzekła — że moje uczucia nigdy nie zaprowadzą mnie tam, gdzie nienależy.

— Ależ przepraszam! przepraszam stokrotnie... A do licha! myśli podobnej nie miałem — wiem, że o Stefcię idzie.

— Skoro wiesz, to wyrażaj się ściślej, ja bowiem dwuznaczników, ani domyślników nie lubię...

— Ależ brzoskwinie! jak żyję nie widziałem podobnych! ależ kwiaty! słowo daję, że nie wiem jak się nazywają.

— Ty jeszcze wielu rzeczy nie wiesz... mój mężu, chociaż wyobrażasz sobie, że jesteś bardzo mądry...

Pana Dezyderego przyjęto ze wszystkiemi honorami. Regent powiedział, że od czasu objęcia kancelarji w Piskorzewie, jeszcze go taki zaszczyt nie spotkał, a panie wysilały się na to, aby oczarować gościa miłem obejściem... Odludek ożywił się, rozruszał, zrobił się wymownym i dowcipnym. Wieczorem towarzyszył paniom na spacer, ze spaceru odprowdził je do domu, został na herbacie.. dopiero koło północy do siebie powrócił..

Wojciechowa przywitała go ciężkiem westchnieniem.

— Oj panie, panie — rzekła — do czego to podobne?..

— Co?

— A tak późno do domu wracać... Czy to pan młodzik? czy nie chorował pan niedawno tak ciężko?

— Nie marudź, Wojciechowa, nie marudź...

Baba odeszła mrucząc i sądziła, że się już więcej taka ekstrawagancja nie powtórzy. Ale gdzieżtam powtórzyła się za tydzień, później za trzy dni, i znów za trzy i za dwa dni...

— Paskudne te mężczyzny — mruczała Wojciechowa — a tak za nieboszczką i za dziatkami płakał, tak się z żalu rozpadał, za morze jeździł, żeby zapomnienia szukać, w tym kącie się zakopał, żeby ludzie niewidzieć, a teraz masz!.. Obaczył ładne oczy i leci jak ćma na latarnię, leci, choć już nie młody... O paskudny naród!

W tym czasie mniej więcej, Mordka Kiełbik, przyszedłszy jak zwykle na audjencję prywatną do burmistrza, mówił z uśmiechem.

— Jakoś, panie prezydencie. o tej komisji cicho. Nasze żydki bardzo się z tego cieszą, a mieszczany, co pierwej pili ze zmartwienia, teraz piją z radości... Pan Dezydery sam się przekonał, że chce głupstwo zrobić — i dał pokój.

— Nie tak, jak ci się zdaje... on jest uparty, znowuż doktora zaczepiał.

— Dawno?

— Niedawno; dwa tygodnie temu; może trzy...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z literatury zagranicznej.

(Książki nadesłane do redakcji.)

La Comtesse de Chambrun, ses poésies. Paris 1893.

Pośmiertne wydanie poezji niedawno zmarłej pani de Chambrun poprzedza obszerna, sto przeszło stronic wielkiej ósemki obejmująca przedmowa, która zaznajamia czytelnika z kolejami życia autorki, odsłania tajniki szlachetnej, bogatej uczuciową treścią jej duszy.

Córka jednej z bogatszych rodzin francuskich, żona człowieka, który zajmował wybitne stanowisko w swej ojczyźnie, Joanna de Chambrun miała możność robienia wiele dobrego bliźnim, miała szerokie pole do pracy obywatelskiej. I wyzyskała tę możność znakomicie i pozostawiła na tem polu wiele pięknych śladów. Imię jej powtarzały setki ust z uwielbieniem i gorącą wdzięcznością. Podczas nieszczęśliwej zwłaszcza wojny z r. 1870-71 poświęcenie jej zajaśniało najczystszym blaskiem. Tuliła pod opiekuńcze swe skrzydła osierocone i zrujnowane materjalnie rodziny, pielęgnowała rannych w szpitalach i ambulansach, nie dając się zastraszyć szerzącym się wśród nich tyfusem i ospą, a na pierwszą wieść o Komunie pośpieszyła do Wersalu, aby stać się niemniej gorliwą i pełną poświęcenia siostrą miłomiłosierdzia i dla ofiar wojny domowej. To też „Towarzystwo pomocy dla rannych" złożyło hołd prawdziwej zasłudze, ofiarowując jej medal honorowy z odpowiednimi emblematami i napisami

Po zawarciu traktatu pokojowego z Prusami pani de Chambrun uwieńczyła patrjotyczną swą pracę dla kraju, stając się jedną z fundatorek i opiekunek *Asile du Vesinet*, założonego w celu udzielania schronienia i doraźnej pomocy wychodźcom z Alzacji i Lotaryngji, którym brakło miejsca i chleba w rodzinnym kraju, po zajęciu tego ostatniego przez Niemców.

Szlachetne uczucia, które ożywiały p Ch. w prywatnem i publicznem życiu, wycisnęły wyraźne piętno i na literackiej jej twórczości. Poezje tej bądź-co-bądź niepospolitej kobiety zalecają się obok wykwintności formy i obrazowości stylu głębokiem współczuciem dla bólów tego świata, oraz szczerym zapałem dla prawdy, dobra, piękna A chociaż nie krzeszą iskier z duszy czytelnika, nie roztaczają nowych horyzontów przed jego wzrokiem, nie wydobywają na jaw nieznanych stron duszy ludzkjej, to jednak pieszczą mile ucho, niby szmer czystych fal strumienia, bawią oko jak wielokrotnie oglądane, a zawsze wabne, kwiaty polne.

Zewnętrzna strona wydawnictwa, ozdobionego przepysznemi fotograwurami, nie pozostawia nic do życzenia, a umieszczony na wstępie portret autorki, przedstawia kobietę niepospolitej piękności, o szlachetnem czole i wielkich, pełnych światła i ciepła oczach.